№ 30 WARSZAWA d. 13 (25) Lipca ROKU 1874.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera; — W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

O KONKURSACH.

Ponieważ konkursa zaczynają się częściej pojawiać, nie od rzeczy więc będzie zastanowić się nad ich znaczeniem.

Mają one pozór bardzo okaźny, dobro publiczne ich celem a pragnieniem skłonienie piszących do działalności w kierunku wskazanym. Któżby więc tak pięknej myśli nie przyklasnął, kto nie uczcił bezinteresowności ogłaszającego konkurs, który bez żadnych dla siebie widoków wyrzuca znaczną kwotę pieniężną, aby tylko korzyść zapewnić krajowi.

Czyż jednak ją otrzyma?

Rzecz niezmiernie wątpliwa, zastanówmy się nad tem cokolwiek.

Konkurs to poświęcenie, a poświęcenie to największa niedorzeczność, według zasady przyjętej i ogłaszanej przez pozytywistów warszawskich.

Grzeszyła niem według ich zdania cała przeszłość, grzeszyli poeci, co je podnosili do ideału, grzeszyli wszyscy zbiorowo i pojedynczo, dla tego zbogaceni w rozgłośne czyny, wysupłaliśmy się do ostatniego grosika i zostali tem czem jesteśmy. Precz więc z poświęceniem! Niech rachunek ujmie w karby porywy skłonnego do uniesień serca, niech to wyzute z wszelkiej zapalności i tkliwości niewieściej, poddane zostanie pod rząd rozumu, który choć błądzi ale nie ulega huraganowi namiętności, zwykle ślepych i bezwiednie działających. Wreszcie społeczności nie bogacą się poświęceniami jednostek: ofiara pojedyncza choćby najszczodrzejsza to kropla do fali wiślanej dodana, cóż dopiero kilkuset rublowa. Społeczność to nie żebrak, wyciąga ręce nie po datki, ale po pracę rozumną, tej dawajcie jak najwięcej a wszelkie poświęcenia zamknijcie na rygle żeby maniaków nie obałamucały.

Tak rozumuje pozytywizm warszawski, i do pewnego stopnia słusznie i zasadnie, jeżeli na widoku będziemy mieli same pieniężne ofiary. Rzecz jednak szczególna, że gdy tak wszelkie poświęcenie bezwarunkowo potępia, gdy wyszydza całą przeszłość za brak dobrego rachunku, dwa najpozytywniejsze warszawskie pisma, ogłaszając konkursa na rozprawy przez siebie zadane, robią to co w zasadzie potępiają.

Pierwszy z Konkursem powieściowym w obecnym czasie wystąpił Przyjaciel Dzieci, po nim ogłosił Przegląd tygodniowy Konkursową nagrodę za rozprawę z jednego działu wystawy wiedeńskiej, a w końcu Niwa za wygotowanie dzieła o zmianie naszych pojęć w XVIII wieku.

Pan Maciejowski dostał nagrodę za Historyą włościan w dawnej Polsce, wyznaczoną przez hr. Augusta Cieszkowskiego; ale był jedynym podobno z przystępujących do konkursu i można było z góry wnosić, że ją otrzyma jeżeli tylko zabierze się do pracy. Czyż go jednak do tego zachęciła nagroda pieniężna? Czyż praca tak wielkiej wagi, mogła być doraźnie choćby w ciągu roku dopełnioną, nie wymagałaż długich studyi i poprzedniego przez długie lata mozolnego zbierania materyałów rozsypanych po całej przestrzeni, w różnych archiwach mało zwiedzanych? I bez zachęty, pan Maciejowski dokonałby tej pracy; zjawił się konkurs więc korzystał z niego, ale nie konkurs dał dzieło tak ważne i tak dawno wyglądane. Nawet ogłaszane Konkursa za powieść najlepszą dla ludu, dotąd praktycznej korzyści nie przyniosły: jeden przyznany został ale tylko wypadkiem: nagrodzony bowiem autor nawet nie wiedział o konkursie, i tylko proszony o napisanie powieści, przysłał ją a komitet sam podciągnął ją pod wyznaczoną przez siebie nagrodę.

Dla czegóż więc mimo tego niepowodzenia, konkursa przybywają? Dla czego spotyka je ciągły niemal zawód?

Zjawianie ich zdaje się wynikać z braku głębszego w nich rozpatrzenia i z widoków czysto osobistych.

Ten ostatni zarzut nie stosujemy do Niwy i wierzymy w jej jak najlepsze chęci, ależ Przeglądu tygodniowego nie podobna z pod niego uwolnić.

Gdyby rzeczywiście redaktor jego p. Adam Wiślicki tak był przejęty na wskroś pragnieniem dobra ogólnego, to przedewszystkiem pomyślałby o starannem wydaniu, wyborze i spolszczeniu dziełek składających jego tak rozkrzyczaną sprytnie pięćdziesiąt tomową bibliotekę. Przy takiem partactwie i lekceważeniu prostego obowiązku, wyrzucanie znacznej kwoty na konkurs z czystego niby poświęcenia, nadzwyczaj podejrzanie wygląda.

Kuryer Codzienny mówiąc obszernie o konkursie świeżo ogłoszonym przez p. Glücksberga na dzieło: O wychowaniu macierzystem, odpierając zarzuty przeciwników wszelkich konkursów, powiada, że i literaci żyć potrzebują, że ogłoszenie nagrody pieniężnej za napisanie dzieła w kierunku danym, poruszy wszystkie w kraju specyalności i zdolności i piśmiennictwo zbogacone zostanie pożyteczną książką.

Rozumowanie to jest błędnem i brak mu właśnie głębszego rozpatrzenia się, o którem wspomnieliśmy.

Literacka praca jest ciężką i bardzo licho dotąd wynagradzaną, co pochodzi nie zawsze z chciwości wydawców, jak to powszechnie głoszą, ale w większej przynajmniej części z ich niemożności. Literat żyjący jedynie z pióra, a do tych należą właśnie najzdolniejsi, gdyż niezdolni na zarobek podobny wiele liczyć nie mogą, muszą dobrze rachować się z czasem, każdą niemal chwilką swego życia zarobkować, byle mieć żyć z czego i nie popaść w niedostatek. Czyż więc taki oderwie się od pracy pewnej i chlebodajnej, dla

niepewnego zarobku a wymagającej niemałego trudu i zmitrężenia tak dla niego drogocennego czasu? Naturalnie ogłoszenie konkursu przeczyta z zadowoleniem chwilowo nawet obudzi w sobie chęć sprobowania szczęścia, ale wprędce rozważywszy już czysto rachunkowo, porzuci myśl korzystania z niego, przekładając wróbla w ręku nad bażanta swobodnie bujającego w powietrzu.

Do konkursu więc przystąpią nie specyaliści i zdolni, jak powiada Kuryer Codzienny, ale po większej części zbyt przeceniający swoje literackie usposobienia. Kto bliżej przypatrzył się pracom nadesłanym na ogłoszone konkursa, ten przyzna słuszność temu twierdzeniu. Bywają między niemi takie lichoty, że aż dziwić się trzeba i smucić zarazem, że autorowie mieli odwagę oddawać je pod sąd komitetu. Pieniądz jakkolwiek bardzo potężny, nie stworzy literata kto nim nie został z wrodzonego mu talentu prącego do działalności, ani miernoty nie przemieni na zdolność jeźli jej rzeczywiście w wyższym stopniu nie posiada. Wreszcie w zadaniu konkursowem sama opinia publiczna najlepiej domyśla się, ktoby mu podołał gdyby tylko chciał stanąć do współzawodnictwa.

Zdaje się więc, że najwłaściwiejby było, aby ustanawiający konkursa, zamiast wzywać do pracy wszystkich w zadaniu przez siebie obmyślonem, powierzyli ją uznanemu przez sąd ogółu za najodpowiedniejszego w tym kierunku pracownika, z warunkiem, że przez czas pracy jeżeli ta wymaga zbierania materyałów odpowiednich, będzie mu wypłacana pewna część wyznaczonej kwoty, że po ukończeniu dzieła podda je pod krytykę ustanowionego komitetu, i że stosownie do przeprowadzonej rozprawy porobi zmiany i odpowiednie dopełnienia.

Dzieło tak dokonane z pewnością będzie dobrem, bo je dobra głowa napisze i zdolni ludzie krytycznie osądzą, obawę zaś zawodu z niesumienności wybranego pracownika wypływającą, uważać należy za nieuzasadnioną. Ważności opinii publicznej nikt nie lekceważy tymbardziej co ją posiada i na nią życiem swojem zasłużył. Taki z pewnością zrobi wszystko co może, a jeźli dziwnym zbiegiem okoliczności nie powiedzie mu się, nigdy jednak do tego stopnia, aby wydatek na pracę jego wyłożony był zupełnie bezowocnym.

Rada ta zdaje się bardzo praktyczną, jeżeli zaś w uznanych już talentach i zdolnościach jedynie widzę rękojmią spełnienia warunków konkursu, to sądzę że nikt nie zaprzeczy, iż do współzawodnictwa konkursowego z widokami pewnego powodzenia, mogą tylko należyć pisarze co już imię swoje głośniejszem zrobili, i że poczynający dopiero pisać mogą mniej więcej udatne tworzyć opracowania, ale nigdy takie coby były godne konkursowej nagrody.

Zadanie Niwy o zmianie pojęć naszych w XVIII wieku, nie małej jest wagi i niemałej wymaga nauki.

Któż wykonaniu jego poświęci się, kto zechce śledzić rozwój pojęć tych w całej Europie, aby z porównania ich z naszemi rzucić na wszystko filozoficzny pogląd, i dać dokładny obraz przyczyn co na ich zmianę wpłynęły i wytknęły kierunek jaki dla siebie obrały? Czytając podobne temata, do których wliczyć należy i ów także nie doszły konkurs o handlu naszym i sposobach jego podniesienia, zdaje się że autorowie umyślnie łamali sobie głowę nad trudnością ich układu. Badaczy historycznych mamy, zaproszeni do pracy z widokami już nie zysku, ale odebrania zapomogi na poniesienie niezbędnych wydatków przy tematach tak obszernych, dokonaliby jej z pewnością z korzyścią dla kraju. Pozbawieni tego, konkurs zostawiają na boku, termina ich mijają jeden po drugim, i zostaje tylko ślad rozgłosu niby światełko od lustra odbite, co błyszczy, migocze, wabi i znika bez śladu.

Bodaj proroctwo nasze było fałszywe, ale z konkursami wszystkiemi o których wspomnieliśmy, podobno tak samo się stanie.

Ypsylon.

Do......

Ty mnie pytasz jaka moc
W moich starych kościach tkwi,
Że ta czarna zwątpień noc
Nie zhydziła życia mi;
Ty się dziwisz, że ów srom
Co się bólem w serce wżarł,
Nie rozkruszył mnie jak grom,
Zgnębionego w proch nie starł.
Ty wciąż wołasz: zkąd ten zdrój
Sił żywotnych, że wśród prób
Tyle straszny z losem bój
Nie pchnął mnie w mogiły grób?
O druhu młodzieńczych lat
Moja moc, moc wyższych dróg:
Pryzmat szczęścia skradł mi świat,
Pryzmat wiary dał mi Bóg!

Za wioską, przy drodze wzwyż
Gdzie zieleni przestrzeń łąk,
Stoi stary, czarny Krzyż,
Skromne dzieło kmiecych rąk.
Gdy ułudy niknie czar,
Gdy złość ludzka zewsząd wre,
Ja niosę jak korny dar,
Do stóp krzyża męk mych łzę.
Wszystko niosę: nawet grom

Nawet krwi sierocej srom!
I wołam: odwiecznych praw
Dzierżycielu, nie karz win;
Daj łzą skruchy zmyć zły czyn,
Panie, tych co błądzą zbaw!

Ludwik Niemojowski.

Rudoszewice d. 3. Lipca
1874.

ORZEŁ I GOŁĄBKA

POWIEŚĆ

PRZEZ

Panią Zeneidę Fleuriot.

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIJĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg.)

— Siedemdziesiąt i trzy, proszę pani.

— Cały rok więcej, ha,.. nie mam już tak dobrej pamięci jak dwadzieścia lat temu. Czy ojciec w domu?..

— Jest u siebie.

— Pragnęłabym z nim pomówić, powiedziała panna Katarzyna machinalnie przyciskając do piersi regestrzyk zielony.

— Natychmiast udamy się do niego, odpowiedziała Franseza.

I przywołując skinieniem ręki przechodzącego w tej chwili służącego, rzekła:

— Zaprowadź te panie do mego ojca, i potem uśmiechając się wdzięcznie dodała:

— Oczekujemy dzisiaj na całą naszą rodzinę i właśnie idę na jej spotkanie aż w koniec tej ulicy. Czyż nie piękne te moje stare czereśnie gdy są w pełnym kwiecie? Serdeczne pozdrowienia dla mojej drogiej Anny, którą bardzo kocham pomimo jej zamiłowania w samotności.

I oddawszy głęboki ukłon, znikła wkrótce pomiędzy czereśniami staremi lub młodemi, stosownie do tego czy to ośmdziesięcioletnia czy też dwudziestoletnia istota na nie patrzy.

Panna Katarzyna i Marya-Ludwika poszły dalej pod przewodnictwem służącego, i weszły wkrótce w dziedziniec usypany piaskiem, w głębi którego wznosiła się stara siedziba Koat-an-Abat.

V.

PRZESĄD.

Panna Katarzyna wolno wstępowała po granitowych schodach krużganku, skinęła na siostrę, aby się zatrzymała w wielkiej, jadalnej sali umeblowanej z dawniejszym zbytkiem, któryby dzisiaj za zbytnią prostotę był uważany, a sama weszła uroczyście z nieodstępnym czerwonym parasolem i zielonym regestrzykiem w ręku, do obszernej biblioteki.

— Co ja widzę? Panna Katarzyna! zawołał głos męzki donośny i silny, czy to być może?

Mężczyzna lat sześćdziesięciu, mający na głowie płaską błękitną czapeczkę otoczoną złotemi wypustkami, powstał żywo z po za szerokiego biórka umieszczonego wpośrodku pokoju, i zdejmując z pośpiechem płaską czapeczkę ze swych siwych włosów, skłonił się pannie Katarzynie, która się ku niemu wolnym, niby martwym krokiem zbliżała.

— Więc to pani! mówił kłaniając się uprzejmie; oczy mnie nie mylą!

— Ja to jestem, panie hrabio, odpowiedziała panna Katarzyna siadając na fotelu, który jej przysunął skwapliwie, przychodzę prosić pana o chwilkę rozmowy.

— Jestem na rozkazy pani. Żałuję tylko, że się sama pani trudzić musiała do Koat-an-Abat. Jedno słowo, a byłbym ją odwiedził.

— Niepodobna szlachetny panie, byłaby to zbyt niestosowna zamiana ról: w interesie który mnie do pana sprowadza powinnam była przyjść do Koat-an-Abat, i przychodzę: nie pierwszy raz już tu jestem. Nasi ojcowie, panie hrabio, mieli dla siebie wzajemną przyjaźń i szacunek.

— I bardzo nawet, jak mi mówiono, mam nadzieję panno Katarzyno, że ich potomkowie zawsze w te ślady iść będą.

Czepek ciotki Henryka pochylił się, a podnosząc się z niezwykłą sobie żywością, mówiła dalej tonem uroczystym:

— Od ciebie tylko panie hrabio zależy, aby to życzenie się spełniło. A najprzód, zechciej rzucić okiem na tę księgę przychodów naszych.

I podała panu Kerouarn zielony regestr. Wziął go zdziwiony, otworzył i szybko przebiegł oczyma.

— Co to jest? panno Katarzyno, zapytał. Inwentarz majątku pani jak mi się zdaje?

— Nie mylisz się pan; ale patrz dalej, dalej jeszcze.

— Ależ to prześlicznie, i jakie daty: 1813, 1822, 1830, 1847!... Każdy rok ma swój bilans, nazwy folwarków, wydzierżawienia, dochody... wszystko tu się znajduje...

Doskonały z pani rachmistrz, panno Katarzyno.

Panna Katarzyna skłoniła się z ręką na piersiach.

— Wszystko we wzorowym porządku, mówił dalej pan de Kerouarn, i radziłbym pani być jak najdłużej swym własnym rachmistrzem. A to co znaczy, dodał coraz weselej... Tuziny?... całe tuziny łyżek stołowych, tuziny łyżeczek... Przepraszam, ale to może nie dyskretnie tę część regestru przeglądać.

— Zechciej pan wszystko przejrzeć, o wszystkiem się dowiedzieć, odrzekła panna Katarzyna z wielką powagą; wszystko to pana obchodzi.

Dawny oficer marynarki uśmiechnął się, ale nie chcąc ubliżyć swemu szanownemu gościowi, przystał na to dziwne żądanie i z takiem samem napozór zajęciem przeglądał zielony regestrzyk, jakby miał przed sobą rapporta o stanie okrętu i jego załogi.

— Czy wykaz jasny? zapytała panna Katarzyna, gdy doszedł do ostatniej karty.

— Bardzo jasny, i pani mnie w prawdziwe podziwienie wprowadzasz panno Katarzyno. Bo przecież całe Quimperlé wie, że po śmierci ojca nie została się wam ani jedna piędź ziemi nie zahipotekowana nad swoją wartość, a teraz widzę tu znaczny i pewny majątek w ziemi. Nie darmo zamkniętą byłaś pani jak pustelnica przez lat tyle.

— Dzieci skorzystają z tego, mam dwoje spadkobierców Henryka i Annę, a raczej jednego Henryka tylko.

— A cóż myślisz pani ze swoją śliczną Anną uczynić? Nie spodziewam się, abyś chciała ją zamknąć w klasztorze?

— Anna nie lubi zajmować się gospodarstwem, a bardzo do brata jest przywiązaną, chętnieby więc została panną byle mu zapewnić świetne ożenienie.

— Takie poświęcenia wyszły już z mody panno Katarzyno, pani tylko potrafiłaś zachować te święte tradycye.

Panna Katarzyna w milczeniu głowę skłoniła, odkalsnęła i dalej rzecz swą prowadziła.

— Henryk może więc być uważany jako jedyny nasz spadkobierca, i przychodzę w jego imieniu prosić cię panie hrabio o rękę twej córki.

Pan de Kerouarn spojrzał z największem zadziwieniem na wyschłą twarz panny Katarzyny, obleczoną w tej chwili niezwykłym wyrazem uroczystej powagi.

— Wiem, majestatycznie mówiła dalej stara panna wiem, że córka twoja panie hrabio świetniejszą partyę znaleść może, i że nawet w Quimperlé lepiej wyjść za mąż nie będzie jej trudno, lecz mój synowiec powiedział mi, że tu idzie o szczęście jego całego życia więc przyszłam. Jeżeli majątek Henryka jest skromny, powiększy się jednakże usilną pracą i.......

— Nie koniecznie majątek jest tu przeszkodą, przerwał pan de Kérouarn wstając i chodząc zwolna po pokoju.

— Czyżby urodzenie? zapytała panna Katarzyna, której policzki lekko się zabarwiły, tak głęboko zakorzeniona w nas wszystkich latorośl z której wszelka duma wyrasta.

Umilkła na chwilę, ale niedługo poczęła znowu głosem cichym lecz pewnym.

— Bezwątpienia panie hrabio, ród nasz podupadł ale jeżeli trzeba przejść przez kilka pokoleń mieszczan chłopów i drobnej szlachty aby się dostać do prawdziwych Darganeków, cóż to może dowodzić, jeżeli nie ich odległej starożytności?

— Darganekowie to rzeczywiście rodzina stara, bardzo stara, wyrzekł pan de Kerouarn z widocznem zakłopotaniem i zmięszany dowodzeniem panny Katarzyny.

— Przyznam się pani szczerze, że nie lubię, gdy rody szlacheckie podupadają, ale w Bretanji wiemy, że młodzi synowie lubią na swoją rękę gniazda zakładać. Zawsze słyszałem panno Katarzyno, że się z największem poważaniem o rodzinie waszej wyrażano; znamy się oddawna i gdyby Henryk chciał prawa swoje odzyskać, chętniebyśmy go wśród nas widzieli.

A spostrzegłszy, że te słowa niemiłe wywarły wrażenie na pannie Katarzynie, dodał z pośpiechem:

— Spodziewam się, że pani rozumie panno Katarzyno, w jakiem to znaczeniu mówię? Henryk nie potrzebuje odzyskiwać swych praw szlacheckich aby być powszechnie szanowanym: jest to dobry, miły, szlachetny chłopiec, kocham go z całego serca, ale, wybacz szczerości starego marynarza, za zięcia go mieć nie mogę.

Zięć mój, trzeba pani wiedzieć, jest już tak jakby wybrany. Mam jedenastu siostrzeńców i kuzynów, z których każdy mniej więcej zajęty jest Fransezą i z nich to jednego już wybrałem. W każdym razie nie chciałbym mieć notaryusza za zięcia. Po cóż zrobiłaś Henryka notaryuszem, panno Katarzyno.

— Wielu było notaryuszów w rodzinie naszej, jest to stan który znaczny dochód przynosi.

— Być może, i nie przeczę że i pomiędzy notaryuszami mogą być ludzie dystyngowani, ale znajduję że nadto się już ich mnoży. Nie cierpię tych wszystkich prawników panno Katarzyno. Wszyscy oni gonią za groszem, uczą się matactwa, skąpstwa i ażiotterstwa, a wśród takich czynności ginie nasza stara dawna cnota szlachecka.

A przytem, ci młodzi ludzie tak się rozpieszczają, tak się obwijają w bawełnę, że stają się tylko zawziętymi konserwatystami swych własnych osób. Mimo papinkowatych nawyknień teraźniejszego niedorzecznego wychowania, w marynarce i w wojsku, mogą być jeszcze ludzie, ale w służbie cywilnej nigdy! Nie mówię tego o Henryku, Henryk od stóp do głów jest jeszcze Bretończykiem, jednakże będzie już zawsze notaryuszem. A powtarzam pani że nie cierpię urzędników, czy to z Paryża czy z prowincyi. Zeszłego roku Paryż całą nam ich kolonję tu przysłał. Często widuję i tych ludzi dojrzałych i tych młodych elegantów, a nie wiem czy śmiać się czy kląć, słysząc ich cynizm, widząc ich wymokłe twarze,wygorsowania, parasole, woaliki, słysząc płytkość ich rozmowy.

Grunt pod naszemi nogami się usuwa, nie ma już zasad.

Lecz daremne ich usiłowania: wszystko co się na dobrej zasadzie nie opiera, trwałem nie będzie i nie przyciągnie do siebie statecznych ludzi. I za moich czasów półgłówków, wiercipiętów, nicponiów, łotrów nawet, nie brakowało bynajmniej, a jednakże były w nich zawsze jakieś resztki wiary, honoru, prawości, uszanowania, o które się kotwica zbawienna choć cokolwiek zaczepić mogła. A teraz, nawet wojskowi są tak chwiejni w swych myślach i zdaniach, że słuchając ich, aż na morską chorobę się zbiera.

— Tem bardziej szczęśliwą jestem widzieć Henryka zachowującego nasze stare przekonania, zrobiła uwagę w porę panna Katarzyna.

— Hm, czy tylko jesteś pewną panno Katarzyno, że zachowuje wszystkie? Mówią że Henryk ma słabość do tych nowych wyobrażeń, liczą go do najbardziej postępowych w Quimperlé. Jest to jedyna wada jaką w nim upatruję.

— Sądzę że się mylą, odrzekła z godnością panna Katarzyna. Henryk dzieli wyobrażenia swojej rodziny a jeśli te które mu przypisują spowodowały w czemkolwiek odmowę pańską, mogłabym panu dowieść że.....

— Och! niech się pani nie trudzi. Prawdziwą przyczyną jest ta o której już mówiłem, że Seza wyjdzie za jednego ze swych kuzynków. A pomyśl pani ma ich przecież jedenastu, i to nie ciotecznych..... jedenastu konkurentów!

I głośny wybuch śmiechu zakończył te słowa a panna Katarzyna osądziwszy, że jej poselstwo zostało spełnione powstała mówiąc:

— Więc wszelka nadzieja jest nam stanowczo wzbroniona, panie de Kerouarn?

Pan de Kerouarn ujął jej rękę i rzekł z uszanowaniem:

— Z przykrością przychodzi mi to powiedzieć, lecz zaszczyt jaki mi pani czynisz prośbą swoją, wymaga szczerej odpowiedzi. Mam jedną tylko córkę i nigdy się z nią nie rozłączę. zresztą szczęście jej jest już zapewnione, chcę mieć za zięcia człowieka, któryby miał moje nawyknienia. podzielał moje zdania, i brał udział w tem co mnie obchodzi. Wreszcie w żyłach jego żołnierska krew płynąć powinna, a pani wie, że gdy nam Bretończykom myśl jakaś tu się zagnieździ, dodał stukając palcem w swe szerokie czoło, to już rzecz skończona.

Panna Katarzyna głowę pochyliła, wzięła parasol i zielony regestrzyk i cicho wyszła z pokoju poprzedzona przez pana de Kerouarn. W jadalnej sali złączyła się z Maryą-Ludwiką, która dotąd swemi bezbarwnemi oczyma w tę samą wpatrywała się ścianę i oba cienie opuściły Koat-an-Abat. Pan zamku odprowadził je aż do końca alei czereśniami wysadzonej.

Przedmiotem rozmowy obecnie dla całej okolicy bardzo zajmującym, był nadchodzący jarmark na ptaki.

Oryginalna ta i ciekawa uroczystość miasta Quimperlè, miała mieć miejsce w przyszły poniedziałek w lesie Karn-Hoet, którego drzewa w oddali zarysowywały się na horyzoncie.

Przy ostatniej czereśni pan de Kerouarn pożegnał obie siostry, które zwolna schodzić zaczęły po kamienistej ścieżce. Gdy do jej końca dochodziły, coś zaszeleściało za liściastym pniem ogromnej lipy i pies nagle na drogę wyskoczył. a za nim ukazał się młody człowiek w myśliwskiem ubraniu.

Był to Henryk, coraz mniej do notaryusza podobny w tej czapeczce okrywającej wyniosłe rysy jego czoła, ze strzelbą na ramieniu, w skórzanych kamaszach uwydatniających kształty jego zgrabnej i cienkiej nogi, a szczególnie z tym wyrazem stanowczym, dumnym i śmiałym, którego się choć w części w biórze pozbyć starał, ale widniejącym w każdej innej chwili. Zatrzymał się przed panną Katarzyną, i głosem cichym, wzruszonym, drżącym prawie zapytał:

— Ciotko, tak, czy nie?

— Nie, Henryku! odpowiedziała panna Katarzyna.

Henryk drgnął tak silnie, że aż strzelba na jego ramieniu zadźwięczała.

— Czy już nieodwołalnie? zapytał jeszcze z trudnością te słowa wymawiając.

Za całą odpowiedź panna Katarzyna szanowną swą głowę pochyliła.

Henryk pobladł straszliwie.

— Czy nie odprowadzisz nas Henryku? spokojnie zapytała panna Katarzyna.

— Nie mogę. Niech ciotka będzie łaskawą powiedzieć Annie, że dziś późno wrócę do domu, mam interesa w Lothéa. Dziękuję cioci i życzę dobrej nocy.

Usunął się z drogi aby ciotki przejść mogły.

Gdy przeszły, młody człowiek chwilę jeszcze pozotał na miejscu nieruchomy, z głową opuszczoną na

piersi, z twarzą ukrytą w dłoniach, lecz nagle wyprostował się i ostrem gwizdnięciem przywołał psa, który pobiegł za obu siostrami.

— Chodź Balf? zawołał Henryk uderzając z lekka po głowie swego towarzysza, pójdziemy pożegnać Lothéa.

I odwracając się od Quimperlé, oddalił się drogą wijącą się po nad krętemi brzegami Lety.

VI.

JARMARK NA PTAKI.

Wielka to uroczystość dla Quimperlé i jego okolic. Dziś w lesie Karn-Hoët, w części przezwanej Toulfoën ma miejsce jarmark na ptaki. Ładna ta zabawa przystaje dobrze do ożywionej okolicy, w której się znajdujemy i wszyscy jej mieszkańcy wesoło się do niej przygotowują. Drogi prowadzące do lasu pełne są ruchu i gwaru, miasto i wieś tam się zeszły i przyjaźnie swe namioty wśród zieloności rozbijają.

Tu muzyka wojskowa wygrywa polki i mazurki, których skoczne tony dalekie echo powtarza; tam, flet, obój i kobza wyśpiewują piękne melancholijne lub wojownicze pieśni narodowe.

W tym kącie, wygadane przekupki, pretensyonalnie ustrojone, sprzedają różne słodycze i syropy dla delikatnych miejskich żołądków, pod tym zaś starym kasztanem prości karczmarze, z potężnej beczki rozlewają w dzbany i kufle szumiący jabłecznik, rozdają chleb i świeże placki dla zdrowych żołądków wiejskich. W tej zielonej alei przechadzają się i wdzięczą wymanierowane panienki we wstążkach i piórach: między niemi kręci się i mizdrzy tak zwana złota młodzież mało-miasteczkowa, uwijają się złotem szyte mundury i wybladłe półgłówki miejskie; pod temi pięknemi drzewami wesołe a często i ładne wiejskie dziewczęta, z pełnemi życia parobczakami ochoczo wyskakują swe narodowe tańce. Ten ostatni obrazek o wiele jest milszy od pierwszego i wszyscy chętniej ku niemu oczy zwracają, bo w nim jest prawda i życie, podczas gdy fałsz i sztuka źle odbijają w ramach jakie tu im są dane. Ta świeża drzew zieloność, te jasne promienie światła, ten nierówno rozesłany kobierzec mchów aksamitnych i nie przypadają wcale ani do twarzy wymokłych, ani do sztucznych warkoczy, ani do sukien ogoniastych, jak równie nie odpowiadają nadętym postawom, wymuszonym uśmiechom, lub ckliwym grzecznostkom. Lecz ci parobcy wysmukli i rzeźcy, z fizognomją męzką, kochającą i poczciwą te dziewczęta tak zgrabne w swych aksamitnych gorsetach, tak zręczne w swych krótkich spódniczkach, tak proste, śmiejące się a skromne, uniesione wśród dźwięków pełnych harmonji poważnego narodowego tańca; oto jest obraz godny zająć oczy człowieka z sercem i myślą.

Rozmaite towarzystwa tam się znajdujące dzieliły się na kółka odrębne, i jedno z tych kółek tak się wyróżniało od ogółu zgromadzenia, że powszechną zwracało uwagę i z ciekawością przyglądano się każdej osobie do niego należącej.

Te osobistości były rzeczywiście zajmujące nawet dla poważnego badacza, nie dziw więc że oczy krajowców wytężone były na tych Paryżanów i te Paryżanki tak niespodzianie spadłe pod cienie odwiecznych buków Karn-Hoetu.

Od dawna cudzoziemcy zachęcani pięknością i spokojem tutejszych lasów, przyjeżdżali przepędzać w tych okolicach letnie miesiące i lud był oswojony z tym tak zwanym modnym światem; ale rodzina Drassart swoim zbytkiem, obyczajami i ekscentrycznością od wszystkich się wyróżniała i przedstawiała ogólnej ciekawości typy nowe i arcy zajmujące. Był to rodzaj dziwnie szczęśliwego trafu spotkać całą tę kolonię razem zebraną, której nie można było widzieć ani w kościele gdyż tam nie uczęszczała nigdy, ani w publicznych miejscach zebrania któremi zapewne gardziła. Czasami na spokojnych wodach Lety spostrzegać się dawał strojny yacht strojnemi zapełniony osobami, lub przelatywały świetne powozy jak błyskawica rącze a często kobiecą ręką powożone: niezliczona ilość sług wygalonowanych przebiegała z Quimperlé do willi Kerlouis, gdzie wesołe prowadzono życie, a z Kerlouis do Quimperlé; ale tak gospodarze jak i goście ich dla zwyczajnych miejscowych śmiertelników byli niedostępni. Wynagradzono też to sobie hojnie w ten błogosławiony poniedziałek Zielonych Świątek, śmiało do nich przystępując i bez ceremonii przypatrując się przybyszom, których towarzystwo składało się z szczęściu kobiet siedzących a raczej niedbale rozwalonych na krzesłach, i z sześciu mężczyzn palących stojąc za niemi w półkole. Stroje tych pań były co najmniej dziwaczne a pomiędzy niemi niemile się wyróżniała pani Drassart i córka jej Noemi.

Głowa, widocznie bardzo lekka, pani Drassart przeciążoną była lokami i warkoczami, a sztuczne barwy jej twarzy nic nie ujmowały z wyrazu pogardliwej i znudzonej oschłości. Natury zimne, egoistyczne, próżne znajdują się zaiste tak dobrze na prowincyi jak i w Paryżu, jednak przyznać potrzeba, że w Paryżu przy zupełnej swobodzie a szczególnie przy religijnej obojętności, szalenie rozwijają się one. Bezstronne badanie nas uczy, że wiara w dusze najdumniejsze, bezwiednie zaszczepia zaród pokory, w dusze skryte, fałszywe, zaród prawdy, w dusze najnamiętniejsze rzuca ziarnko sprawiedliwości, a w dusze egoistyczne ziarnko poświęcenia i miłosierdzia. Kobieta niedoskonała ale pobożna, miewa wyrzuty sumienia, pragnienia poprawy, chwile porywów ku cnocie i poświęceniu; kobieta niedoskonała a wiary nie mająca, która nigdy myśli swych ku Najwyższej Istocie nie zwraca, sama sobą jest tylko zajęta, otwarcie się popisuje ze swem niedołęztwem, namiejętnością, osobistością swoją, i jawnie się ukazuje jako niewolnica swych żądz najpospolitszych, swych najnędzniejszych kaprysów.

Przy pani Drassart siedziała jej córka, Noemi Drassart, wątła ciałem a wywiędła na twarzy: był to typ skończony tych kobiet światowych, które swym sposobem bycia, swoją rozmową i ekscentrycznym strojem czynią sobie jakby zabawę z narażania się choćby na najdotkliwsze pomyłki.

A jednakże w twarzy zarówno ubielonej, uróżowanej i wyczernionej panny Noemi, przebijał się wyraz pewnej jakiejś wyższości, której matka nie posiadała wcale. Była w niej jakaś dziwna mięszanina delikatności i siły, szlachetności, gminnego prostactwa, woli i niedołęztwa. Jej czarne i gęste włosy, nizko na skroniach rosły i w dziwaczny sposób czoło okalały; oczy jej były czarne, duże i błyszczące, lecz spojrzenie które je ożywiało było ostre i obojętnie śmiałe; usta pełne i karminowe zaciskały się zwykle w gwałtownem skrzywieniu a uśmiech, ten największy wdzięk twarzy, był im prawie nieznany. Nigdy się też nie uśmiechała, śmiała się tylko śmiechem suchym nieprzyjemnym, lub pogardliwie zaciskała swe wyraziste usta. Strój jej tak jak i powierzchowność cała nie poddawał się opisowi. Ten bogaty zbiór jedwabiów barw krzyczących, dziwacznych klejnotów: ten chaos wstążek, frendzli, piór i przeróżnych błyskotek, można było tylko uważać chyba jako wyzwanie dobremu smakowi i prawdziwej elegancji rzucone.

Dwaj mężczyzni którzy z nią w tej chwili rozmawiali widocznie związkiem krwi byli z nią złączeni. Rysy jej bowiem były urobione jakby na wzór rysów starszego, a jej wyraz zapożyczał jakiś odblysk z wyrazu twarzy młodszego. Jeden był jej ojcem a drugi stryjem.

Ojciec, pan Eugenjusz Drassart, był to człowiek powierzchowności chorobliwej a wieku nieokreślonego, dzięki staraniom tualetowym. Fizognomja jego była z tych, które oznaczają człowieka typowego obecnej chwili, przyjemnego epikurejczyka a przebiegłego spekulanta; słowem jest-to człowiek-kompas, którego wola jak igła kompasa zawsze ku biegunowi jest skierowaną: człowiek-chorągiewka, która się zawsze obraca w stronę wiatru najpomyślniejszego dla jego materyalnych korzyści, bez wahania się, bez walki, bez rozumowania i bez skrupułu żadnego.

Na twarzy jego brata pana Marcellego Drassart, ten ogólny wyraz jeszcze się bardziej uwydatniał i nowemi wzbogacał odcieniami: obojętność zmieniała się w nieczułość, ironja w złośliwy sarkazm, przebiegłość w machjawelizm. W niepewnem spojrzeniu tego światowego człowieka, były niezmierzone głębie egoizmu, fałszu i cynizmu płaszczykiem cywilizacyi okrytego.

Synowica jego Noemi i lepsi znajomi przezwali go Mefistofelesem, i rzeczywiście gdy wzrok jego błysnął ogniem drzemiącym w zielonkawej źrenicy, gdy ściągnął swe brwi rudawe i pogładził rudą spiczastą bródkę, a dziwny uśmiech zaigrał na jego zaciśniętych ustach, stawał się wybornem uosobieniem tej diabelskiej postaci której imię chętnie przyjmował.

Ciekawi którzy się przypatrywali temu paryzkiemu towarzystwu, nie tak ściśle rozbierali główne jego typy, a wielu chętnie nawet zwróciło uwagę na dwa nowe grona wielce od siebie się różniące, a zbliżające się w tej chwili do głównego koła. Pierwsze z nich nadchodzące z prawej strony, złożone było tylko z czterech osób, i na naszą uwagę zasługujących.

Henryk Darganek dość niedbale ubrany jak na uroczystość taką, z orlem swem spojrzeniem bardziej jeszcze śmiałem niż zwykle, szedł zwolna prowadząc pannę Maryę — Ludwikę, której twarz bezbarwna powleczona była jakby odblyskiem wesołości i życia. Dla panny Katarzyny żadne przyjemności i rozrywki nie istniały nigdy, Marya-Ludwika raz na rok ich używała, a były niemi ów jarmark na ptaki. Corocznie na jarmark ten przychodziła, marzyła o nim sześć miesięcy naprzód, a mówiła sześć miesięcy potem. Przez te kilka godzin przesuwały się przed nią wszystkie dziwaczne mody z całego roku, jej bezbarwne oczy oglądały te drzewa pod któremi niegdyś i to bardzo nieśmiało, próbowała tańczyć kadryla: widziała jak coraz nowe pokolenia w Quimperlé podrastały, i to było wystarczającem dla jej ciekawości i szczęścia.

Przy niej szła piękna Anna, w wiosennej tualecie przestarzałej lecz świeżej. Pod surowym wyrazem twarzy ukrywała zmięszanie w jakie ją wprowadzały ścigające ją spojrzenia obcych, które nie były już nacechowane tym wyrazem pełnym szacunku z jakim całe Quimperlé spoglądało na tę dziką dziewczynę.

O dwa kroki od Anny postępowała Maja jej służąca, dziewczę o jasnych włosach i z wielkim wdziękiem noszące malowniczy strój z Pont-Aven: gorsecik z błękitnego sukienka zasznurowany wstążką żółtą i liljową, ozdobiony gwiazdkami tegoż koloru, kołnierzyk i rękawki z białego muślinu misternie haftowane, czepeczek skrzydlaty, a na szyi złoty krzyżyk i serduszko na czarnej aksamitce.

(d. c. n.)

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
OD X DO XII STULECIA.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg).

II.

LITERATURA ŚWIECKA.

Wyż wspomniana *Nauka dla dzieci* Monomacha, stanowi niejako przejście i środek między literaturą cerkiewną a świecką. Mało bardzo było utworów literackich nawet tłomaczonych, przekraczających zakres religijny, ponieważ duchowieństwo czuwało troskliwie aby żywioł wiecki nie zakłócał kościelnego ruchu umysłowego.

Dzieł oryginalnych pojawiało się nader mało, bo nie można zaliczać do nich ukazów i zbiorów praw, jak między innemi zbiór praw Jarosława (Ruska prawda), które mogą mieć jakieś znaczenie dla historyka cywilizacyi, ale piśmiennictwo chyba ze względu języka obchodzić mogą. Z całej tej epoki tylko „*Słowo o pułku Igora*" i „*Prośba Daniela Zatocznika*" do K. Jarosława zasługują na wzmiankę.

Słowo o pułku Igora jest to opis nieszczęśliwej wyprawy Igora Światosławowicza przeciwko Połowcom, przedsięwziętej z trzema pokrewnymi sobie książętami w roku 1185. Jak powszechnie utrzymują, ten starosłowiański poemat napisany był w XII-ym wieku, przez niewiadomego autora. Podajemy po krótce treść jego.

Igor, książę nowogrodzki na Siewierzu, postanowił uderzyć na Połowców, głównych Rusi nieprzyjaciół. Skończono przygotowania do wyprawy; „konie rżą za Sułą, dzwoni sława w Kijowie, trąby trąbią w Nowogrodzie; w Putywlu wieją sztandary; Igor oczekuje brata Wszewołoda. Przybywa Buj-Tur-Wszewołod i książęta połączonemi siłami wyruszają w pole." W pochodzie objawiały mu się różne złowieszcze przepowiednie, a między innemi nastąpiło zaćmienie słońca, i rozlegało się w powietrzu wycie dzikich zwierząt, jakieś dziwne jęki i pisk ptaków. Co się to dzieje? zapytał Igor drużyny. Bojarowie smutnie skłonili głowy, i odrzekli: to nie na dobre, i doradzali zaniechanie wyprawy. Ale Igor nie zważał na ich przestrogi, i wraz z bratem zwrócił się na południe, ku Donowi i Sali. Koczujący tu Połowcy uwiadomili swoich o zbliżającem się niebezpieczeństwie, i ci od najodleglejszych brzegów zbiegli się na spotkanie Rusi. Pierwsza potyczka zakończyła się zwycięztwem Rusinów, zdobyli obóz i zaraz zaczęli hulać i ucztować wśród wieży połowieckich, —ta pewność siebie zgubiła wyprawę. Połowcy zebrali nader liczne hufce, tak że Igor że swojem wojskiem znikł prawie w niezliczonych tłumach nieprzyjaciół. Rusini bili się z rozpaczliwem męztwem, konie padały pod niemi z głodu i znużenia. Igor raniony objeżdżał pole walki, zdjął przyłbicę z głowy żeby go swoi widzieli i nie tracili ducha, daremnie, wszyscy polegli lub dostali się w niewolę. Straszna ta klęska miała miejsce nad rzeką Kajałą, (dziś Kahalnik) i sam Igor dostał się do niewoli.

Zanim wieść o tej klęsce doszła do Kijowa, książę Światosław miał sen, który mu ją wyraźnie przepowiedział. Małżonka Igora strasznej oddaje się rozpaczy, wszyscy podzielają jej smutek. Nareszcie Igorowi udało się uciec z niewoli i szczęśliwie wrócił do Kijowa.

Oto temat tego utworu zalecającego się poetycznym układem przedmiotu: autor czerpał wiele ustępów z poezyi ludowej, a zwroty, styl i wyrażenia, przypominają śpiewki Rusi południowej.

Główną zaletę opowiadania stanowią opisy walecznych hufców, staczanych walk, i obrazy pięknej przyrody.

Doskonale przeprowadzona jedność przedmiotu i uczucia każe wnosić że poemat ten jest utworem jednego człowieka, uczonego i świeckiego, a najprędzej jakiegoś śpiewaka czy barda z orszaku księcia. Głównym przedmiotem poematu są boje staczane przez księcia i jego drużynę; są to więc szczątki owej epopei wojennej, której ślady przebijają od pierwszych stronnic kroniki Nestora. Dalej widać wyraźnie, że autor jest Rusinem a nie Waragiem lub jakimś awanturnikiem, który tylko w widokach łupów i zdobyczy, przyłączył się do książęcej drużyny. Ubolewa szczerze nad klęskami jakie ściągają na ludy walki i niezgody istniejące między książętami, oraz nieustanne napady Połowców. Dalej dowodem szczerego współczucia autora tego poematu dla ludu jest podzielanie jego wierzeń, które nie dla samej tylko ozdoby swej opowieści wprowadza do poematu. Wierzy w potęgę żywiołów, których pomocy przyzywa zrozpaczona Jarosławna, udając się do nich jakby do bóstw żyjących, mogących wysłuchać jej prośby i ułatwić jej małżonkowi powrót do ojczyzny. Być może, iż *Słowo o pułku Igora* było ułożone według istniejących już opisów tej wyprawy,—tak utrzymują niektórzy, dotąd jednak nie natrafiono na żaden ślad mogący służyć na poparcie tego przypuszczenia.

Inne zupełnie wpływy odbijają się w innym utworze tegoż okresu, będącym głównym pomnikiem ówczesnej literatury świeckiej, jest to *Prośba Daniela Zatocznika* (wygnańca) przysłana z nad brzegów jeziora do księcia Jarosława Wszewołodowicza z Perejasławia, w celu przebłagania jego gniewu i wyproszenia przebaczenia. O osobistości autora nic się tu prawie dowiedzieć nie można a główna treść prośby zasadza się na abstrakcyjnych uwagach o różnych przedmiotach moralnych, jak o mądrości i szaleństwie, o łagodności i uporze panów, o dobroci i złości kobiet. i t. p. Myśli są wyrażone pod postacią bajek i gawęd ludowych, pomięszanych z przypowieściami Salomona. Jest to wyraźne naśladowanie licznych zbiorów byzantyjskich, układanych z sentencyi czerpanych z Pisma św. Ojców Kościoła, filozofów greckich, podzielonych przedmiotami. Wszystkiem tem kompilacyom nie mającem żadnej prawie literackiej wartości dawano zwykle tytuł *Pszczół*. Wielka liczba najróżnorodniejszych kopji. Prośby Daniela Zatocznika, dowodzą jak bardzo była rozpowszechnioną w pośród oświeceńszego towarzystwa, któremu lepiej daleko przypadała do gustu niż kazania z greckiego napuszonym tłómaczone stylem.

Może także podobały się satyryczne docinki zwrócone przeciw niektórym owczesnym zwyczajom, zaprawione już to humorem już to rzewnością, a niekiedy pisanych wierszem. Takich kompilacyi było wiele, ale większość ich dotąd zupełnie jest nieznana i nie była nigdy nawet otrząśnięta z pokrywającego je pyłu w bibliotekach, w których były złożone rękopisma.

(d. c. n.)

O ZGODNYM UKŁADZIE ŻYWIOŁÓW ZIEMI.

Lato.

Lato jest to porą roku przedstawiającą naszym zmysłom w równym niejako stosunku pożytek i piękno, obfitość i przepych.

W miarę jak ustala ono swoją władzę na widnokręgu, wszystko przybiera postać bogatszą i świetniejszą.

Działanie słońca jest bezporównania silniejsze, woda więcej przezroczystą a błękit powietrza silniej narysowany.

Równa prawie ilość owoców i kwiatów zdaje się współubiegać o żywość barwy i piękność całej postaci. Płazy, ryby i owady w pełni swego rozwoju cieszą się piękniejszym strojem i większą żywotnością. Szerokie łany zbóż przystrajają ziemię, a od strony lasu rozlegają się gwarniejsze głosy skrzydlatych śpiewaków.

Upał rozwija do najwyższego stopnia siłę roślinną, to też mąka tworzy się w ziarnie, a cukier w owocach, choina zgęszcza swoją żywicę, grona winnej latorośli pęcznieją. Jednocześnie z temi zjawiskami nader ważnemi, dostrzegamy gdzieindziej objawy sprzeczne na pozór a zgodne z istotnym ich układem. Lilija naprzykład odważnie rozwija kielich swój pod największe działanie słońca, ponieważ posiada własność odbijania zbyt żywego światła, gdy tymczasem fijołek pochłaniający takowe, kryje skromnie swą główkę w pośród krzewów udzielających mu mimowolnej opieki; płazy rozwijają swe sploty na gołej ziemi, jakby dla nadania swemu ciału świetnej barwy tęczowej pod działaniem promieni słonecznych, gdy tymczasem zimorodek przyozdobiony delikatną przepaską niebieskiego koloru, kryje się w cieniu drzew otaczających rzeki, jakby nie chciał swej ozdoby narazić na spełznienie.

Jednocześnie rozwija się działanie elektryczności będącej ważnym czynnikiem w rozmaitych związkach chemicznych, a znajdującej najwyższy swój wyraz w piorunie, zjawisku niezaprzeczenie straszliwem, ale koniecznem i dobroczynnem. Oznaki jego zbliżenia wywierają odpowiednie wrażenie na wszelkiego rodzaju istotach. Powietrze nieruchome duszące jakby przytłoczone przez gęste chmury pokrywające niebokrąg: para wodna zawieszona w powietrzu przybiera rozmaitego rodzaju kształty odpowiednio do swego skupienia i stanu elektryczności. W lasach i polach następuje zupełna cisza, serce nawet człowieka ogarnia uczucie pewnego niepokoju, motyle opuszczają kwiaty zamykające swoje kielichy, jakby przeczuwały grożące niebezpieczeństwo. Wszystkie stworzenia szukają schronienia, począwszy od niedźwiedzia i jelenia aż do drobnych ptaszków wracających śpiesznie do gniazd z pisklętami: powietrze staje się coraz ruchliwsze, kłęby pyłu wznosząc się ku górze, nie tylko liście ale i gałęzie drzew gwałtownie się poruszają, a od czasu do czasu słychać w oddaleniu jakiś huk przytłumiony poprzedzony błyskiem światła odbijającego tem żywiej od czarnej powłoki nieba. Nareszcie elektryczność zawieszona nad naszemi głowami przerywa gwałtownie warstwy powietrza, jednocześnie z hukiem piorunu deszcz gwałtowny lub grad spada na ziemię, wszystkie światła niebieskie zagasły, a tylko błyskawica od czasu do czasu dozwala ująć zwrokiem straszliwą walkę żywiołów. Grzmot jest tylko jednem uderzeniem krótkiem i że się tak wyrazimy ucinanem ale z powodu odgłości rozłożonym jest na huk mniej lub więcej rozciągły. Skutkiem braku należytej równowagi w powietrzu, powstaje wicher poruszający gwałtownie fale oceanu aż do najgłębszych jego przepaści.

W obec takiego zjawiska jakże człowiek jest małym i słabym!

Zwolna jednak błyskawice stają się coraz rzadszemi, dochodzą jeszcze grzmoty do naszych uszów, ale z bardzo dalekiej odległości, deszcz ustaje, a z łona chmur prawie wyczerpniętych ukazuje się na niebie tęcza będąca zapowiedzią, że w krótce słońce odzyska chwilowo utraconą władzę.

Burza jest warunkiem koniecznym lata, to też jest jak najzgodniejszą z potrzebami tej pory roku. Aby nasiona roślin dojrzały należycie, potrzeba aby płyn zamknięty w nich był często zmienianym, a jednocześnie aby pod wpływem działania słonecznego ulegał szybkiemu parowaniu. Zbytnie jednak gorąco pozbawia ziemię wszelkiej wilgoci, wysusza strumyki, zuboża jeziora i rzeki, rośliny więdnieją, powietrze napełnia się rozmaitemi cząstkami lotnemi szkodliwemi dla zdrowia. Otóż burza przyprowadza należyty porządek w przyrodzie nie przerywając nawet na chwilę, ani działania słonecznego ani też rozwoju roślinnego. Piorun ognistym strumieniem przebiegając atmosferę, pali i tym sposobem zamienia wyziewy szkodliwe na pożyteczne: deszcz rozpuszcza je a wiatr rozsiewa po powierzchni ziemi. Jednocześnie ziemia odzyskuje właściwą jej spojność tak jak strumyk bieg mu właściwy, jezioro należytą ilość wody a kwiat barwę utraconą.

Do wytworzenia pioruna oprócz elektryczności przyczyniają się jeszcze wielce powietrze i woda. Do zapalenia iskry elektrycznej potrzeba dwóch ciał napojonych w wysokim stopniu dwoma przeciwnemi elektrycznościami i otoczonych złemi przewodnikami.

Te dwa warunki spełnione są w sposób bardzo prosty. Woda parowana za pośrednictwem gorąca, już tem samem napojona jest elektrycznością pozostawiając elektryczność przeciwną w dawnem swem łożysku. Ponieważ skupiona para wodna tworzy chmury, skutkiem tego warstwy powietrza są jakby ogromną bateryą elektryczną, tem silniejszą, że chmury złożone są z maleńkich kulek których górny pokład stanowi powierzchnią ogromnej rozciągłości. Powietrze utrzymujące chmury w zawieszeniu jest złym przewodnikiem eletryczności, dopomaga zatem do jej skupienia i wydania piorunu, a jako przezroczyste i ruchliwe nie czyniąc żadnej zawady dla naszego wzroku, przenosi chmurę wraz z piorunem na właściwe pole działania.

Podczas lata rozmaity stopień ciepła jest odpowiednim do różnych podziałów kuli ziemskiej, ale nabiera największej mocy pod równikiem przy prostopadłem prawie działaniu promieni słonecznych. Upał na pustyni Sahara jest do nieznieszenia, a mimo tego a może też dlatego, dobroczynna i przewidująca Opatrzność rozrzuciła tu i owdzie pyszne oazy, i zaopatrzyła te okolice w różne zwierzęta wyższego rzędu znajdujące wszelką łatwość zaspokojenia swoich potrzeb.

Struś jest prawdziwem dzieckiem pustyni unikającem starannie wszelkich okolic lesistych. Wysoki jego wzrost jest podstawą szybkiego biegu ułatwionego jeszcze przez nogę długą i nadzwyczajnie silną. Długość nóg wymaga odpowiedniej szyi, aby dziób mógł z łatwością dosięgnąć ziemi. Znaczny rozmiar szyi dozwala łatwo przenosić środek ciężkości ciała odpowiednio do tego jak ptak chce iść lub biegnąć, a nadto dozwala oku śledzić pilnie oddalone okolice pustyni.

Nadzwyczajna długość nóg wywołuje słaby rozwój skrzydeł i palcy, pomimo tego jednak są one jak najzupełniej zgodnemi z potrzebą, bo skrzydło jest naprzemian wiosłem lub wachlarzem a zbyt długie palce przeszkadzałyby do szybkiego biegu.

Długość i giętkość kolumny pacierzowej robi głowę nadzwyczajnie lekką która utrzymuje w czasie biegu głowę strusia w ciągłym ruchu na około szyi a oprowadzając wzrok bez żadnego wysilenia w różnych kierunkach, dozwala uniknąć wszelkiego niebezpiecznego spotkania. Dziób strusia nie przedstawia żadnego piętna co do właściwości jego pokarmu, bo na pustyni nie można być wybrednym i trzeba być zadowolonym z najbardziej różnych przedmiotów, jeżeli tylko żołądek może z nich wyciągnąć jakikolwiek posiłek. Ale pokarmu tego trzeba szukać nieraz w przedziałach bardzo od siebie dalekich, obdarzony też został nadzwyczaj szybkim biegiem, przy pomocy którego w ciągu jednego dnia, przebywać może przestrzenie wielomilowe bez żadnego prawie dla siebie wysiłku.

Struś z wielbłądem ma wiele szczegółów podobnych do siebie ale też i wiele różnic, będących wypływem odmiennego typu.

Obadwa mają postawę wysoką, nogi i szyję długie, palce krótkie, głowy lekkie, oczy wyskakujące. Jednakże wielbłąd jako należący do zwierząt czworonożnych ma chód więcej pewny, a u strusia przemaga szybkość, bo ma jeszcze skrzydła dopomagające do biegu. Układ zębów wielbląda ogranicza rodzaj właściwego mu pokarmu.

Jest on pod tym względem nadzwyczajnie umiarkowany tak dalece, że często wstrzemięźliwość ta przechodzi wszelkie wyobrażenie, i przez długi czas zapytywano, jakim sposobem zwierz ten z zupełnego wycieńczenia nie utraca życia. Przy baczniejszej jednak uwadze spostrzeżono, że przy długim poście garby umieszczone na jego grzbiecie znacznie mniejszały. Rzeczywiście, narośla te wytworzone są z tłustości i stanowią zapas żywności na ciężkie czasy, zasilając żołądek odpowiednio do konieczn~~e~~j potrzeby. Woda zaś zebraną jest, że się tak wyrazimy, w słoikach pomieszczonych na wewnętrznej powierzchni jego brzucha, i ta dopomaga do czynności wewnętrznej organizmu.

Gorąco lata jest powodem dojrzenia rozmaitego rodzaju roślin, wydających odpowiedni im owoc posługujący do wzmocnienia człowieka osłabionego zbytnim upałem.

W samej zatem przyczynie pomieszczonym jest środek zaradczy, lato bowiem wydaje owoce udzielające najwięcej pożywienia. Owoce pestkowe trwają niezaprzeczenie krócej aniżeli owoce ziarnkowe, ale ponieważ szybko i obficie następują jedne po drugich, samą zatem rozmaitością wypełniają należycie swoje przeznaczenie.

Ze względu na upał lata wszystkie stworzenia posiadające krew zimną, dochodzą całej pełni swego rozwoju.

Owady szczególniej są niezliczone bo wedle prawa przyrody, stworzenia narażone na ciągłą utratę życia, łatwem mnożeniem wynagradzają ciągły swój ubytek. Owady posługują za pożywienie dla ptastwa szczególniej drobnego, to też codziennie giną ich myrjady, ale jednocześnie powstają inne myrjady z pozostawionych zarodków pod działaniem słonecznego ciepła. Bez wątpienia ptaki oddają wielką usługę bo inaczej owady przechodząc właściwy im stosunek w przyrodzie, byłyby nadzwyczajnie szkodliwemi. Aby jednak zachować wszelką sprawiedliwość wypada nadmienić, że jest bardzo wiele owadów nader pożytecznych z tak nazwanego cynipsa robią atrament, czerwiec wydaje farbę czerwoną, mucha hiszpańska jest potrzebną w medycynie, jedwabniki zaopatrują w ubranie a pszczoły składają bogate zapasy wosku i miodu. Wiele innych jak naprzykład muchy zwyczajne posługują do oczyszczania powietrza pozbawiając go różnych cząstek zepsutych a stanowiących ich pożywienie. Towarzystwo z niemi jest bardzo przykre, ale gorzejby było gdyby much brakło, jest bowiem bardzo zasadne przypuszczenie, że oprócz zgniłych miazmatów unoszących się w powietrzu, niszczą mnóstwo zarodków drobnowidzowych, będących pasożytami roślin i zwierząt.

Ze wszystkich czterech pór roku w lecie panuje ruch największy i najrozmaitszy: ileż to można dostrzedz rozmaitości badając bliżej zmyślność właściwą każdemu stworzeniu.

Niektóre ptaki naprawiając swe gniazda i zszywając liście, używają jedynie ździebła trawy zamiast nici a dzioba zamiast igły. W innych rodzajach samce siadając na gałązkach przyśpiewują samicom wysiadującym nowe pokolenie, a wieczorem niektóre na pułapie swego gniazdka zamiast świecznika zawieszają świętojańskiego robaczka.

Roślina nepenthes zbiera w swych liściach wodę którą odnawia codziennie przez otworzenie pewnego rodzaju pokrywki, otóż ptak Rengalis czatuje pilnie na tę chwilę aby użyć orzeźwiającej kąpieli. Jednakże nie tylko w ptakach, zwierzętach ale i w istotach niższego rozwoju można dostrzedz dowody zadziwiającej zmyślności.

Spojrzyjmy przez chwilę na owad nazwany mrówkolwem; ukryty on jest w głębi jamki mającej kształt lejka a wyrobionej przez niego samego. Siedząc w zasadzce czatuje na owady mogące mu posłużyć za pożywienie, których nie mógłby dosięgnąć ani w biegu ani w locie. Otóż i zjawia się mrówka przemyślną wprawdzie ale krótkiego wzroku, która potknąwszy się nad brzegiem przepaści wpada do jej głębi, jednocześnie czyni wszelkie możliwe usiłowania, aby zachować równowagę i wycofać się z grożącego niebezpieczeństwa. Wówczas mrówkolew bez zwłoki czasu organem ciała swego podobnym do łopatki, rzuca na nią z całych sił piasek i żwir drobny tak że ogłusza ją i w tym stanie pokonywa łatwo. Po wyssaniu swej zdobyczy odnosi jej martwe ciało daleko od swego siedliska, aby nie posługiwało za ostrzeżenie dla innych owadów. Zaiste przekroczylibyśmy właściwe obręby naszej pracy, gdybyśmy chcieli określić wszystkie widowiska właściwe latu począwszy od świtu aż do zmierzchu. Noc nawet letnia odznaczona przezroczystością powietrza sklepieniem gwiaździstem, nie jest pozbawioną pewnego ruchu.

Niedoperz zastępując jaskułkę ściga zapalczywie nocne motyle; sowa siedzi na czatach w pośród gruzów, ropucha wyszukuje ślimaków po ogrodach; i w chwili gdy świerszcz przy ognisku domowem zawodzi swój śpiew, w chwili, gdy żaby dają znak życia po bagnach, świętojańskie robaczki usiłują zmniejszyć pomrokę nocną światłem sobie właściwem.

Bezwątpienia podczas lata dwa królestwa organiczne zwierząt i roślin są i najliczniejsze i najwspanialej przystrojone.

Kwiatów jest wprawdzie mniej niż podczas wiosny, ale zato celują siłą swej woni, rozmaitością i bogactwem układu. Nadto lato ma tę ważną przewagę nad wiosną, że posiada bez porównania więcej owoców. Co to za rozmaitość barw począwszy od poziczek aż do brzoskwiń, a różnica kształtu i wielkości jest również niemniejszą bo długi łańcuch pośrednich ogniw rozpoczęty przez wiśnię kończy się melonem, mającym smak owocu a siłę zapachu właściwą kwiatom. Uważmy jeszcze że każda barwa nie jest jednostajną, ale rozłożoną na rozmaite odcienia. Bogactwo stroju ptasiego jest nie do opisania: pancerze płazów są najwięcej zbliżone do srebra: łuska ryb najświetniejszą podobnież jak odbicia metalowe owadów. Wpatrzmy się dobrze w głowę jednej muchy a zobaczymy dziwne połączenie najpiękniejszych barw właściwych rubinom, safirom, topazom i szmaragdom.

Rzeczywiście, podczas lata wszędzie panuje przepych i jak największa zgodność układu, począwszy od głębin wodnych aż do najwyższej warstwy powietrza.

Lato nie posiada ani miłego uśmiechu wiosny, ani rzewnego obrazu jesieni, to też przepychem swoim więcej olśniewa niż zachwyca. Podobną ona jest w tej mierze do wieku człowieka będącego w całej pełni swego rozwoju. Zbliżenie to można dostrzedz w wielu innych jeszcze szczegółach. Lato i wiek

dojrzały są niezaprzeczenie najważniejszemi okresami, bo w lecie siła organiczna dochodzi do największej swej potęgi, tak jak wiek dojrzały zaszczycony jest zupełnym rozwojem sił cielesnych. W lecie światło i gorąco dochodzi do największej swej mocy, tak jak w wieku dojrzałym siły umysłowe człowieka i siły serca wzniesionemi są do największej potęgi. Lato następuje po wiośnie tak jak wiek dojrzały po młodości; przepych lata zawisłym jest od mniej więcej właściwego rozwoju poprzedniej pory roku, tak jak wiek dojrzały jest następstwem dobrze lub źle spędzonej młodości, a jeżeli ta nie była napiętnowaną pracą i życiem moralnem, to także trudno wiekowi dojrzałemu wynadgrodzić popełnione błędy przeszłości. W lecie są burze niszczące w jednej chwili bogate łany zboża, tak jak wiek dojrzały doświadcza częstokroć klęsk niweczących prace całego żywota.

Podczas burzy tęcza zapowiada czas spokojniejszy tak jak w życiu ludzkiem w czasie największych niepowodzeń, nadzieja złożona w sercu każdego człowieka, jest ową tęczą moralną niedozwalającą upadać pod ciężarem zwątpienia. Nie zapominajmy jednak, że szczęście ziemskie ma znaczenie drugorzędne, w obec duszy nieśmiertelnej przeznaczonej do innego żywota, i tęskniącej do stałego bytu w innej ojczyznie a tem samem nie mogącej znaleść na ziemi zupełnego zadowolnienia.

K. G.

Korespondencya zagraniczna.

(Dokończenie.)

Była to właśnie chwila dziejowa, gdy miał rozpocząć się bój krwawy, o koronę cesarską pomiędzy królem Henrykiem a margrabią Helzilo na Babenbergu: Graf Gerhard stał po stronie króla Henryka.

Na wozy po siano wysłane, przewidziany nastąpił napad: zakonnik rozporządzający wyprawą i młody Immo dostali się w niewolę grafa: gdy ich później na zamku do wieczerzy wezwano, wskazano młodemu Immo miejsce na szarym końcu, którego nie przyjął, i zasiadł samowolnie obok pięknéj córy grafa, Hildegardy. Pan zamku oburzył się na to i kazał go wyrzucić, lecz Immo stawił się hardo i wyrzekł: że jako syn rycerza Irmfrieda, równym jest grafowi i to jemu należy się miejsce. Graf, ongi przyjaciel Irmfrieda, powitał młodzieńca uprzejmie, a piękna Hildegarda była wcale rada sąsiadowi.

Graf przed zakonnikiem i Immo usprawiedliwiał swój napad na siano: łąki te były dawniéj własnością jego a oddał je klasztorowi, by zakonnicy dla zmarłego ojca wyprosili zbawienie. Tymczasem śniło mu się niedawno, że ojciec zbawionym nie został, zwrót zatem łąki uznał za usprawiedliwiony.

Sprawdziło się więc przysłowie, że kto chce psa obić to kij znajdzie.

Pomiędzy opatem Bernheri a dziekanem Titulo zaszła wielka kłótnia. Immo wmięszał się do niej, uderzył dziekana i został osadzony w więzieniu.

Immo wreszcie opuszcza klasztor i po drodze przybywa do domu matki swojej. Edita przyjmuje go z rozczuleniem, lecz bracia witają go niezbyt chętnie prócz najmłodszego Gottfrieda. Chciał on wyznać matce, że porzucił klasztor i zaciągnął się do zastępów króla Henryka, ale przemilczał jeszcze, by jej nie zmartwić, zwłaszcza, że i list opata do pani Edity, jedynie tylko pozdrowienie tegoż zawierał.

Dnia drugiego wieczorem wszedł Immo chmurny do komnaty i zastał tam wszystkich. Na ścianach wisiały zbroje różne zdobyte przez ojca na wrogach, miecze słowiańskie i t. p. Przystąpił do nich i zdjął miecz jeden z kółka: wyciągnął go z pochwy i probował ostrza. Odo, brat młodszy po nim, odebrał mu go z ręki i zawiesił na miejscu, lecz Immo jednym wyrywając go rzutem zawołał:

— Nieszczęście przyniesie ci ujęcie tej broni, bo to jest rodu naszego dziedzictwo, więc należy do mnie jako do najstarszego z braci.

— Raczej do najstarszego wojownika, odparł Odo, ale ty nim nie jesteś! Żelazo to warte czegoś lepszego, aniżeli wisieć przy boku mnicha.

— Sprobój odebrać! krzyknął Immo, a przekonasz się, czyli władać niem nie umiem.

W tem blada i przerażona zerwała się matka Edita, stanęła pomiędzy rozjątrzonymi i zawołała:

— Klątwa spoczywa na tem żelazie! Wasz ojciec raz tylko miecza tego użył, a potem przez życie całe tego żałował: jako znak nieszczęścia wisi odtąd bezczynnie na ścianie. Oczekujecie chwili podziału ojcowizny, ale podobno, że z was żaden tej nie zapragnie broni. Potępiam waszą kłótnię, więc podajcie sobie ręce do zgody.

Niechętnie podali je sobie.

Gdy synowie Irmfrieda, z wyjątkiem najmłodszego, wyjechali nazajutrz konno i stanęli wśród służebników rodziny, Immo ogłosił im: że wystąpił z klasztoru, a zaciągnął się do wojska króla Henryka. Zmięszało to braci jego i Odo wyrzekł:

— Idziesz wbrew woli rodziców, a winieneś wytłomaczyć się przed matką. Podział ojcowizny dopiero za rok nastąpić może, gdy Gottfried już miecz dźwignąć podoła. Mühlburg miał być twoją własnością, gdybyś odebrał święcenie, a teraz do równego pójdzie podziału. Służebnicy zaś do nas należą, bo ty, wychowany w klasztorze, nie umiałbyś nimi rządzić.

Immo pięść ścisnął, lecz zapanował nad sobą i odrzekł:

— Dobrze, mój bracie: podaję rękę do zgody. Miej ty prawo starszeństwa we wszystkich grodach, aż do ostatecznego za rok podziału, a mnie zostaw Mühlburg z górami i służebnikami na teraz.

Odo odrzekł szorstko i wywiązała się straszna między nimi zwada.

— Niechże nas wyrok Boży rozsądzi! zawołał nakoniec Immo—wedle dawnych praw ojców.

Obok była rozpadlina przepaścista, wiodąca od góry szczytu aż do poziomu i straszne było to miejsce omijane przez wszystkich, bo mówiono, że zostaje w mocy złych duchów, Immo stanął po nad tą otchłanią.

— Oto! zawoławszy, kto przeszkoczy, stanie na równych nogach w dziedzictwie swojem! odsadził się w odległości kilkudziesięciu kroków....i otchłań przeskoczył. Upadł potem na kolana i wzniósł złożone dłonie w stronę, gdzie słońce zachodziło w tej chwili.

Zgromadzeni wkoło, wydali głośny okrzyk tryumfu, ale zaraz umilkli bo ciało jedno potoczyło się w przepaść: był to Odo!... Immo bolesne, straszne przerażenie przejęło. Młodsi bracia pospieszyli w padół a za nimi zbrojni. Podnieśli upadłego: Odo się po ruszył, podźwignął, wsparł na ramieniu jednego z braci, dobył miecz z pochwy i zawołał:

— Do mnie, waleczni! Słońce nadało przodkom moim ich prawa, a nie człowiek żaden! Dzienna gwiazdo poświadcz, że ja dziedzicem jestem grodu i państwa!

Gdy Immo później wjechał w dziedziniec, spotkał Gottfrieda, który mu powiedział, że Odo znajduje się w sali i udał się tamże. Gdy próg przestąpił, matka miecz złowróżby zerwała ze ściany i rzuciła go przed nim na ziemię.

— Bierz, co należy się tobie! zawołała. Szukasz podziału dziedzictwa u złych duchów otchłani, chodzi ci o prawo starszeństwa i godzisz na życie brata, niechaj tobie broń nieszczęsna przypadnie. Gdy na ostrzu stali dojrzysz rdzę krwawą, powie ona tobie, że raz już bratobójczo zakrwawioną została! Gdym jeszcze dziewicą była w domu ojca, pragnął młody bohater Turyngii zaślubić córę saksońską, a ojciec mój był jego życzeniu przychylnym. W tem powrócił brat jego starszy z dalekich krajów. Możniejszy w bogactwa i zaszczyty, pozyskał sobie mojego ojca, odniósł zwycięztwo nad młodszym....i jego żoną zostałam. Nieprzyjaźń rozgorzała między braćmi. W grodzie ojców swoich wyciągnęli miecze z pochew...i młodszy padł ugodzony śmiertelnie przez brata! Małżonkowie pełni grozy o przyszłość postanowili poświęcić służbie Bożej najstarszego syna. Tem dziecięciem ty jesteś, Immo!... Dziś dowiedziałam się od jednego z mnichów klasztoru, żeś dłonią bezbożną, raził namaszczonego święceniem kapłańskiem, i za tę zbrodnią z klasztoru wypędzonym zostałeś.

Immo tłomaczył i usprawiedliwiał się przed matką, lecz gromiła go ciągle wyrazami strasznemi. Nie mogąc tego przenieść dłużej, wypadł z sali, przebiegł dziedziniec, dopadł konia i zniknął w cieniu wieczornym.

Immo przejechał dalekie kraje na czele młodych Turyngczyków, których królowi Henrykowi prowadził. W drodze spotkali znaczny hufiec wojowniczy grafa Gerharda, który także do Henryka dążył, graf powitał go żartobliwie jako zbiega klasztornego w sukni rycerskiej, powiedział mu, że córka z nim także się znajduje.

W tem przybył służebnik grafa z pośpiechem i oznajmił: że Magano, sługa markgrafa zabrał cały skarb królewski, który złotnik Heriman przewoził. Wszyscy na wieść tę porwali się z przestrachem a niemniej przerażonym był Gerhard.

— Wiele zawsze o tym olbrzymim prawiono skarbie,—odezwał się stary wojownik, bo składały się na niego Bawarya i Saksonija od lat niepamiętnych.

Immo dostrzegł, że wszyscy zmienili się dla króla Henryka od razu, odkąd skarb swój postradał......

Ale dość i tego abyśmy dokładnie poznali naturę dzisiejszego romansu historycznego w Niemczech. Przymus, gwałt, nienawiść rodzinna, bratobójstwa, zdrada, rabunek, przeniewierstwo, oto żywioły składające się na całą tkankę opowiadania.

P. W.

Przegląd literacki.

Zagadnienia i kierunki przez L. Szczerbowicza Wieczora.

Wiek obecny to wiek przełomu dla myśli w słowie i czynie, jakby przedsionek do nowej epoki, chwila rozwagi i zastanawiania się nad tem co jest a jak być powinno, przygotowaniem materyałów do nowego gmachu pomyślności ogólnej. Nic też dziwnego, że wszystko zaczyna ulegać roztrząsaniu, bo wszystko co nie jest oparte na prawdzie, ma być usunięte, zmienione lub zastąpione nowem pojęciem.

Barwa ta obecnego stulecia widnieje wszędzie i we wszystkiem, czuć ją niemal w powietrzu, w około siebie i w sobie; przewidywana oddawna zaprzątała cią-

gle poważniejsze umysły, ale trzymana w oględnych karbach rozsądku, nie wyskakiwała zbyt krzycząco, gromadziła skarby wiedzy, nauczała, oświecała i nie mogąc budować szanowała gmach stary nawet i kletki do niego przyczepione.

Młode pokolenie nie miało tej oględności: brakło jej dwóch głównych sił, dwóch potęg, nauki i doświadczenia. Nauczywszy się troszkę, rozejrzawszy się dopiero w skarbnicy wiedzy ludzkiej, przeczucie wziąwszy za nową myśl, czując że są błędy a nie umiejąc ich usunąć, rzuciło się na wszystko święte i nieświęte pogardziło przeszłością o przyszłość nic się nie troszcząc, i tym spobem ugrzęzło w obecności. Ten jest początek a nie inny dziś tak jawnie szerzonego materyalizmu posuniętego do ostateczności, którego rodzicem było i jest zawsze zarozumienie z niedouctwa wyrastające. Gdy w leki ginie wiara a nowych nie ma na razie, chory wpada w rozpacz i nieraz dopuszcza się szaleństwa; młode pokolenie podobnie postąpiło i widząc że co było i jest, doskonałem nazwane być nie może, z porywczością właściwą swemu wiekowi, chwyciło za młot słowa i dalej burzyć i szerzyć pustki wkoło. A są między niemi zacni i dobroduszni są półmędrkowie i łaknący nauki, są pyszni i pokorni, są wreszcie tylko zręczni w mętnej wodzie szukający połowu, alegdylepsi chwieją się i milczą gorsi wrzeszczą na całe gardło: do nas, do nas się gromadźcie, otrząśnijcie się z pleśni i marzycielstwa bo my dajemy wam prawdę a fałsz druzgoczemy jak na to zasługuje!

Przechwałki to i nic więcej, ale pominięcie ich milczeniem było niepodobnem.

Prąd tej nierozwagi zaczął zataczać coraz szersze koło, porywać coraz większe zastępy, psuć, niszczyć, rozważniejsi więc musieli wystąpić, bo tu już zaczęło iść nie o przekonania ale o dobro ogólne, a w takim razie obojętnym być nie można.

Przeciw to takiemu prądowi nierozwagi, wydaną została praca p. L. Szczerbowicza Wieczora p. t. Zagadnienia i kierunki przyczynek do kwestyi obecnej. Jest to przedruk artykułów pomieszczonych różnemi czasami w Kronice Rodzinnej, artykułów trzeźwo, zdrowo i jasno napisanych, których upowszechnienie wielce stanie się pożytecznem.

Niepodobna nam szczegółowo rozbierać pracy pisarza znanego w literaturze ojczystej, którego współudział w przekładzie dzieła p. t. Kwestye filozoficzne Meyera wydanego przez Gazetę Polską, wymownie dowodzi, że w zadaniu obranem przez siebie jest na swojem miejscu, że zna przedmiot dokładnie o którym mówi.

Wprawdzie mógłby kto zarzucić, że w dziełku tem nie ma nic nowego, żadnego postępu w zdobyczy dowodów treść popierających; ale zarzut ten byłby niesłuszny. W kwestyach tak ważnych, jak religija, moralność, dusza, filozofija, o nowe myśli bardzo trudno: ludzkość już przeszło dwa tysiące lat biedzi się nad ich stworzeniem a nic nowego wymyśleć nie może. Praca więc i ta niby nie jest nowa, ale wyrozumowanie swego własnego indywidualnego pojęcia, przedstawienie własnych przekonań na dowodach z nauki zebranych, rozwinięcie jasne twierdzeń wielkich myślicieli i włączenie różnych objaśnień w przedmiotach mało znanych, zawsze stanowi pracę nową i bardzo pożyteczną. Nie zawadzi ją przeczytać nie tylko łaknącym pożytku moralnego, ale i uważającym się za mędrców skończonych. Znajdą tam wiele rzeczy zupełnie sobie nieznanych, a w każdem razie twierdzenia przeciwne swemu zaprzeczeniu, przedstawienie niebezpieczeństwa na jakie ogół narażają, co już godnym jest bliższego z pracą tą zapoznania.

Po kilku uwagach nad kierunkami myśli jaka się obecnie objawia w ruchu piśmienniczym, autor następnie mówi o religijności, moralności, znaczeniu właściwem wyrazów jak idealizm i materyalizm, o wstręcie do filozofji zbyt jednostronnie na nią zapatrujących się, wreszcie o duszy i jej nieśmiertelności. Pojmując że opieranie się wyłącznie na prawdach przyjętych, mogłoby z lekceważeniem być przyjęte przez wyznawców przeciwnych teoryi, że gdzie niby do walki czysty rozum występuje, tam błędy i usterki tylko nauką powinny być zwalczane, autor dowodzenia swe popiera samą nauką, dogmata zostawia na boku, i zbrojny wiedzą, religiją, moralność, duszę przedstawia ale nietylko jako głos wewnętrzny, poczucie nieokreślone rodzące się w naszej istocie, ale i jako konieczność na rozumie opartą.

Czasami w tej pięknej pracy przebija się pewna niechęć dla przeciwnej gromadki zwanej u nas pozytywną: czasem wymknie się cierpkie słowo z lekceważeniem połączone, ale trudno uniknąć tego pisarzowi, który widząc niedostateczność znajomości przedmiotu którym pomiatają, widzi zarazem szkody ztąd płynące.

Wreszcie nie jest to wystąpienie przeciw rzeczywistemu pozytywizmowi i materyalizmowi, które rozumnie prowadzone godzą się najzupełniej ze wszystkiemi teoryami filozoficznemi, tylko przeciw prądowi u nas zwanemu pozytywnym, który dla tego że z zarozumienia wyrosły więc hardy i pyszny, mimowoli najcierpliwszego musi zniecierpliwić. Radzilibyśmy jednak aby w dalszych pracach p. Szczerbowicza. które nam zapowiedział, i ta mała odrobinka niechęci była usunięta. Czyż na chorych można się gniewać, że czasem pobredzą i pogrymaszą? Pozytywizm warszawski to choroba, leczmy go i czekajmy a zdrowie wróci bo już i dziś wiele stracił na swojej sile. Kółko czytelników jego coraz się uszczupla, co już jest pewną zapowiedzią że zniknie niedługo zupełnie.

Uprawiający go pójdą tam gdzie się znajdować już dawno powinni, zmilknie więc, przycichnie, będzie zawsze wrzodem społecznym ale przynajmniej dla ogółu nie grożącym gangreną. Szkody z niego powstałe łatwo naprawią się, bo doświadczenie ma ten wielki przymiot, że robi każdego mędrszym i rozważniejszym.

J. K. G.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu St. D. Wiersze nadesłane nie są złe ale i nie dobre.

Panu F. Z. Wierszyk. Majaczenie chorego nie może być pomieszczony w Tygodniku.

Pani Z. W. w Bidzinie. Zauważyć: nie jest dobrze po polsku, błąd to nie wielki ale zawsze prowincyonalizm. Niech się pani nie dziwi że może zbyt marudnie przestrzegamy czystości mowy naszej. Obecnie lekceważenie jej tak się upowszechniło, że zdaje się, iż każdy wytęża usiłowania, aby czemś nowem przynieść jej szkodę lub zepsucie. Obok nowo stwarzanych wyrazów najniezręczniejszych, używania obcych jak własnych, znajdziesz zwroty mowy niemieckie, francuzkie, ale czysto polskie nader rzadko. Grzeszą tem wszystkie pisma peryodyczne, szczególniej Przegląd Tygodniowy, i pod dawniejszą redakcyą wydawana Niwa i Opiekun domowy, wydawnictwa zaś p. Wiślickiego tak zręcznie rozkrzyczane, tak są pisane złą polszczyzną, że często zdaje się, iż je dokonał cudzoziemiec umiejący nieźle po polsku.

W obec zatem lekkomyślności podobnej względem własnej mowy, lepiej być nudnym pedantem jak niedbalcem: staramy się też usilnie, aby tak Tygodnik Mód jak Przyjaciel Dzieci pisane były jak najczystszą polszczyzną i żeby ani jeden wyraz w pismach tych nie został użyty cudzoziemski. Niech pani tylko uważa dobrze a przekona się łatwo że to nie próżna pochwała.

Panu Izydorowi w K. Byłoby to zapewne nieźle: gdyby to gdyby, w polu rosły grzyby, a w lesie na dębach pszenica, ale że jest inaczej trzeba znosić jak jest.

Litwinowi. Wierszyki wydrukujemy.

Pani Elizie Z. Tylko tym prenumeratorom wysyłamy początek powieści p. t. „L a l k i" którzy nas uwiadomili, że są nowemi prenumeratorami na rok 1874: dawniejsi abonenci mają początek w N-rze 52 przeszłego roku. Sprawunek wysłaliśmy.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, oraz na osobnym dodatku opisy rycin i krojów.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Tygodnik Mód w Warszawie 1874 roku.

DODATEK

z opisami wzorów i krojów do Numeru 30-go

Opis do N. 30.

(Dokończenie).

Fig. 30 podaje formę i deseń gładkich kwadratów oraz wszytych części, z sukna czarnego i pąsowego złożonych. Części te przydziergują się z brzegów włóczką żółtą, a w środku czarną i pąsową i wyszywają wzdłuż paskami różno kolorowemi, ściegiem sznureczkowym. Podwójny węzeł zakończający u góry kwasty, robi się na sutem podłożeniu z kilkunastu nitek, ściegiem dzierganym, formą guziczka, kolorem zielonym i żółtym. Wyszycia na kwadratach czarnych, odrobione są stosownie dobranemi i zmienianemi różno-kolorowemi włóczkami. U dołu poduszka oszyta jest frendzlą czarną, kręconą. W miejsce sukna można użyć na poduszkę różno kolorowego safianu.

N. 15. Vêtement z pelerynką.

Podobna suknia z niebieskiego albo szarego płótna, vêtement z pelerynką, i kapelusz słomkowy lub bastowy, stanowić będą bardzo stosowne ubranie podróżne lub spacerowe. Krój vêtement podaliśmy w poprzedzających N. Tygodnika.

N. 16. Suknia muślinowa z plisowanemi i haftowanemi falbanami.

Forma tiuniki taka jak do ryc. 11 w N. 29 Tygodnika. Garnirunek składa się z plisowania, na które zachodzi haftowana falbana, zakończona w górze wstawką koronkową lub haftowaną; także garnirunek naszyty na staniku w kształcie chusteczki.

Kapelusz z rondem mocno z boków wywiniętem.

N. 17. Ubranie dla małego chłopczyka.

Krój jak do ryc. 18 w N. 23 Tygodnika.

Deseń wyszycia na dodatku z krojami fig. 66.

Z boku zapinana sukienka z białej piki wyszyta jest sutaszem i ściegiem supełkowym. Szeroka kolorowa szarfa zawiązana z boku, wysokie buciki tego co szarfa koloru, pończoszki krótkie białe. Kapelusz marynarski.

N. 18. Ubranie z płótna lub batystu écru, ozdobione haftem.

Przód spódnicy naszyty w podłuż, haftowanemi wstawkami z białą wypustką; bryty tylne ogarnirowane czterema nadmarszczonemi, jeden na drugi zachodzącemi wolantami, z których najwyższy, zakończony nadgłówkiem. U dołu wolanty ozdobione haftem; także haft dany przy tiunice z przodu zaokrąglonej, z tyłu prosto ściętej w bufę podpiętej, i przy staniku zapinanym z boku. Rękawy przybrane falbaną i patkami. Kapelusz słomkowy, ubrany rulonikami aksamitnemi, skrzydełkiem, wstążką i kwiatami.

N. 19. Ubranie dla małej dziewczynki.

Biała pikowa sukienka ubrana jest batystem *écru*; przyszyta do spódniczki plisowana falbana, oszyta plisą i drobno fałdowaną riuszą *écru*. Bluzkowy stanik z krótkiemi rękawkami, ubrany szelkami złożonemi z plisy *écru* i białego plisowania, które z przodu sięgają aż do falbany. Szeroka kolorowa szarfa zawiązana z boku.

N. 20. Suknia z polonezką w pasy.

Biała pikowa suknia oszyta jest skośnemi plisami z perkalu w paski czarne, oszytemi czarną wypustką; z takiego samego perkalu jest polonezka, ubrana czarnym gładkim perkalem, w sposób na ryc. 20 wskazany. Do tego ubrania należy karoczek z paskiem, podany na ryc. 5. Kapelusz z wysoko odwiniętem rondem, ubrany aksamitem, wstążką rypsową z kolorowym spodem, kwiatami i klamrą.

N. 21. Ubranie z dolmanem.

Dolman z jasnego, letniego sukienka wyszyty sutaszem, ma wykładany kołnierz i szerokie obłożenie z jedwabnego rypsu. Przody zapięte na agrafy z kwastami i sznurami. Kapelusz słomkowy z rondem z przodu w górę podniesionem, ubrany suto wstążką i dyjademem z kwiatów.

N. 22. Suknia z plisowaniem z muślinu.

Suknia z gładkiego muślinu, z fularu, z batystu w rzucik albo z lekkiej wełnianej tkaniny w dwóch cieniach, ogarnirowana jest z tyłu dwoma szerokiemi wolantami

nagłówkiem, z tego samego co suknia materjału, oszytemi plisowaniem z białego muślinu.

Przód naszyty szeroką bufą z tego co suknia materjału i szerokiem plisowaniem z muślinu. Od bufy wzdłuż naszyte kilka buf muślinowych. Szeroka pół tiunika składa się z brytów prostych, u dołu zaokrąglonych, z brzegu plisą oszytych, a szarfą w suty puf podpiętych. Stanik z tyłu bez baskiny tylko paskiem przepasany, z przodu ma dodaną kamizelkę.

Kapelusz bastowy do wiązania, ubrany barbką tiulową i kwiatami.

N. 23. Ubranie dla małej panienki.

Kropkowana batystowa sukienka, z tyłu aż do pasa naszyta jest falbankami, u dołu z przodu jeden szeroki wolant, a nad nim trzy razy naszyty fartuszkowy garnirunek, złożony z wązkiej falbany, gładkiej plisy i nadgłówka. Przy staniku wyciętym w kwadrat, urządzona szmizetka z falban i ładny na rycinie wskazany garnirunek z falbanki i guzików.

N. 24. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka z popielatej dymy z tiuniką i kaftaniczkowym stanikiem, ubrana jest plisami i wypustkami z piki białej. Tiuniczkę z tyłu rozciętą podpina się w sposób na ryc. 24 wskazany. Kapelusz pasterski z płaską główką, ubrany wstążką i wiankiem z kwiatów.

N. 25. Suknia z szerokiemi deseniowemi plisami.

Do wszelkich gładkich letnich materjałów, jakiego bądź koloru, bardzo odpowiedni garnirunek stanowią szerokie plisy z takiego materjału, w biały mniejszy lub większy groszek, objęte białą wypustką 1 cent. szeroką. Na załączonym modelu plisa przy spódnicy układana jest w drobne fałdki. Zwykłej do spódnicy zbliżonej formy tiunika, jest mocno w górę podpięta. Stanik z długą baskiną, z przodu na dwa rzędy guzików zapinany, z tyłu bez fałd tylko w środku rozcięty, przykrawa się podług formy do ryc. 24—25 w N. 22 Tygodnika.

Do zapinania stanika i przybrania rękawów służą guziki z konchy perłowej. Kapelusz z florenckiej słomy, ubrany piórami, kwiatami i wstążką.

N. 26. Ubranie dla pań starszych.

Jedwabna suknia, z tyłu oszyta jednym szerokim wolantem, zakończonym podwójną bufą, z wązką u góry falbaneczką. Przód naszyty kilkoma lekko nadmarszczonemi falbankami, które z boków zaokrąglają się nakształt fartuszka ku górze. Mantyla z czarnego kaszmiru bogato przybrana koronką, naszywaną perełkami. Kapelusz wiązany z przodu, ubrany piórami, wstążką i koronkową woalką.

N. 27—35. Kąpielowe ubrania wraz z czepkami i trzewikami, dla osób dorosłych i dla dzieci.

Krój na arkuszu dodatkowym fig. 34—44.

Trzy ubrania podane na ryc. 27—29 z małemi potrzebnemi odmianami zastosowane być mogą do każdego wieku i wzrostu. Do kąpieli morskich, najwłaściwszym materjałem jest flanela, do rzecznych, można używać materjałów bawełnianych. Do przybrania służą taśmy wełniane albo serża pąsowa. Majtki za pomocą dziurek i guzików przyczepiają się do stanika. Zeszycia pojedynczych części, oznaczone są na formie literami i znaczkami.

N. 31. Czepek kąpielowy.

Denko owalne 50 cent. długie, 37 cent. szerokie, przykrojone z żółtej ceraty, z przodu jest trochę przymarszczone i w wązki pasek wszyte, a z tyłu w takiż pasek z elastyką; garnirunek stanowi riusza i falbanka ceratowa, w ząbki wycięta i kolorową, wełnianą plecionką naszyta oraz kokardki z szerokiej wełnianej tasiemki.

N. 32. Kapelusik do kąpieli.

Więcej strojny lecz mniej dogodny od czepka, kapelusik kąpielowy, robi się z kolorowej ceraty; w rondko podwójne dodany jest w środek sztywny muślin i wszyty z brzegu sztywny drucik. Fason wymaga zręcznej ręki do odrobienia; ubranie jest upięte z węższej i szerszej pąsowej wełnianej tasiemki.

N. 33—35. Trzewiki kąpielowe.

Trzewik chroniący nogę od kamieni lub ostrych muszli, zaścielających dno morskie, stanowi niezbędne dopełnienie kąpielowego ubrania. Z tyłu wysoko zachodzący, z przodu wycięty trzewik z płótna żaglowego, oszyty i garnirowany jest pąsową wełnianą tasiemką, która także użyta do przysznurowania i przywiązania. Podeszwy z przebitemi dziurkami dla przepuszczania wody, mogą być dwojakie. Ryc. 35 przedstawia podeszew dziurkowaną skórzaną, do której metalowemi sztyfcikami przymocowana jest kratkowana, cienka metalowa podeszew; ryc. 34 przedstawia podeszew metalową, od środka wyłożoną ceratą, a ze spodu mającą tylko napiętek i szeroką z brzegów listewkę skórzaną.

N. 36. Rękawiczka do kąpieli.

Robota na drutach z wązkiej, szarej, bawełnianej tasiemki.

N. 37—38. Kobiałeczka pleciona ze słomy, z lambrekiną haftowaną.

Kobiałka pleciona z grubej słomy w ten sposób jak wiejskie kapelusze, przystrojona jest lambrekinami z szarej angielskiej skóry, wyszytemi plecioneczką białą, pąsowym sutaszem i czarnym jedwabiem. Szlaczek z brzegu stanowi torsadeczka biała na pąsową plecionkę zachodząca. Kwasty z pąsowej włóczki i riusza z pąsowej tasiemki dopełniają przystrojenia. Uszy także owinięte pąsową wełnianą tasiemką. Wzór lambrekiny w naturalnej wielkości zamieszczamy na ryc. 38.

N. 39 i 40. Desenie do poduszek na kanapę, wyszywane na pasach sukiennych.

Wzory poduszek ryciny 29 i 30 w Numerze 29 Tyg. Mód.

Tygodnik Mód.

w Warszawie 1874 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 29 i 30.

N. I. Vêtement złożone z bluzki wyciętej i tuniki.

Ryc. 1—4 w Nr. 29.

Fig. 1. Połowa przodu i pleców bluzki (A, B, : ✱)
Fig. 2. Połowa przedniego bryta (C, D, H)
Fig. 3. A. Pierwsza połowa tylnego bryta (✛, :) linia przecięcia, załamanie.
Fig. 3B. Druga połowa tylnego bryta (C. G, H, ✛, :) linia przecięcia, załamanie.
Fig. 4. Pierwsza część dodatkowa tylnego bryta (D, E, F, H) załamanie.
Fig. 5. Druga część dodatkowa tylnego bryta (E, F, G) załamanie.
Fig. 2 a-5 a. Zmniejszony format części tuniki Fig. 2-5 zestawionych razem.

N. II. Suknia z kaftanikiem dla dziewczynki od lat 4—6

Ryc. 33—34 w N. 29.

Fig. 6. Połowa przodu (I, K, L, M, N)
Fig. 7. Połowa pleców (I, K, L, M)
Fig. 8. Rękaw (N, O)
Fig. 9. Połowa karoczka (. I. i ✕ I—2 i ✕ 2)
Fig. 10. Połowa przedniego bryta (P, Q)
Fig. 11. Bryt boczny (P, Q)
Fig. 12. Przód do kaftanika (R, S, V, W, X,)
Fig. 13. Boczek (R, S, T, U : ✱)
Fig. 14. Kieszonka (✱ :)
Fig. 15. Połowa pleców (T, U, V, W, ✛)
Fig. 16. Rękaw (X, Y, Z, ✱)
Fig. 17. Połowa pelerynowego kołnierza (✛ , ·)
Fig. 18. Połowa stojącego kołnierza (✛ , ·)

N. III. Stanik na sznurówkę dla panienki od lat 8—10.

Ryc. 36 w Nr. 29

Fig. 19. Przód (a, b, e, f, g)
Fig. 20. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 21. Połowa pleców (c, d, e, f)
Fig. 22. Rękaw (g, h)

N. IV. Tunika fartuszkowa do sukni muślinowéj

Ryc. 10 w Nr. 29

Fig. 23. Wskazanie kroju (Fig. 23a. Połowa przedniego bryta, Fig. 23b. Połowa tylnego bryta.

N. V. Tunika formą spódnicy, do sukni muślinowéj.

Fig. 24. Wskazanie kroju (Fig. 24a. Połowa przodu, Fig. 24b. Bryt boczny. Fig. 24c. Połowa tylnego bryta, Fig. 24a.—24c. Trzy części kroju złożone razem.)


N. VI. Kieszonka na szczotki

Ryc. 13—14 w Nr. 29.

Fig. 25. Czwarta część kieszonki.
Fig. 26. Połowa deseniu arabeski.

Desenie do ryc. 14 w Nr. 30.

Fig 27—28. Dwie części gwiazdy, Fig. 29. Listek. Fig. 30. Część szlaku bocznego naśladującego kwasty.
Fig. 31. Szlak. Fig. 32. Przyozdobienie brzeżne. Fig. 33. Kwiat do sukienki dziecinnéj podanéj w Nrze. 27.



Tygodnik Mód.

w Warszawie 1874 r.

Dodatek z krojami i deseniami do Nr. 29 i 30

N. VII. Ubranie kąpielowe dla kobiet.

Ryc. 28 w Nrze. 30

Fig. 34. Przód bluzy (A, B, C, D, E, H, . I i XI)
Fig. 35. Połowa pleców (A, B, C, D, G)
Fig. 36. Rękaw (E, F)
Fig. 37. Połowa kołnierzyka (G, H)
Fig. 38. Połowa majtek (I, K, L, M, N, O) załamanie
Fig. 38a. Zmniejszony format majtek, Fig. 38.

N. VIII. Ubranie kąpielowe dla dziewczynki.

Ryc. 29 w Nr. 30.

Fig. 39. Przód bluzy (P, Q, R)
Fig. 40. Połowa pleców (P, Q)
Fig. 41. Połowa rękawa (R, S, T.)
Fig. 42. Połowa majtek (U, V, W, X)

N. IX. Ubranie kąpielowe dla mężczyzn

Ryc. 27. w Nrze. 30.

Fig. 43. Wskazanie kroju (.)

N. X. Majteczki kąpielowe dla chłopców

Ryc. 30 w Nr. 30.

Fig. 44. Wskazanie kroju (* , .)

N. XI. Płaszczyk pelerynowy z kapturkiem dla dziewczynki od lat 7—10

Ryc. 39. w Nr. 29.

Fig. 45. Połowa peleryny (a, d, e) załamanie.
Fig. 46. Połowa kapturka (b, c, d, e)
Fig. 47. Połowa wykładu kapturka (b, c, e)
Fig. 48. Połowa stojącego kołnierza (d, :)

N. XII. Kapturek do płaszczyka

Ryc. 7 w Nr. 30.

Fig. 49. Połowa części fałdowanej (f. g. * 2X2)
Fig. 50. Ranwers (f, g. *)

N. XIII. Pasek z karoczkiem

Ryc. 5 w Nr. 30.

Fig. 51. Połowa zwierzchniej części (h, . 3 i X3—.4 i X4)
Fig. 52 Część spodu (h, 5 i X5)

N. XIV. Kwadratowo wycięte vêtement dla dziewczynki od lat 5—7

Ryc. 31—32 w Nr. 29.

Fig. 53. Przód (i, k, n, o)
Fig. 54. Boczek (i, k, l, m, 6 i X6)
Fig. 55. Połowa pleców (k, m, n, o)

N. XV. Sukienka dla chłopczyka od 1—3 lat.

Ryc. 35. w Nr. 29.

Fig. 56. Połowa przodu (p, q, v, .)
Fig. 57. Pierwsza część boczku (p, q, r, s, w, x)
Fig. 58. Druga część boczku (r, s, t, u, w)
Fig. 59. Plecy (t, u, . . .)
Fig. 60. Rękaw (x, . . *)
Fig. 61. Połowa kołnierzyka (. +)
Fig. 62 a. Deseń do wyszycia pleców sukienki.
Fig. 62 b. Deseń do haftu.

N. XVI. Kołnierzyk kapturkowy do kaftanika.

Ryc. 37—38 w Nrze 29.

Fig. 63. Połowa kołnierzyka.

N. XVII. Kołnierzyk i mankiety

